NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata w Polsce: Kwart. bez odn. w miejscu 21.000·— Mk. z przes. 24.900·—Mk. Półrocznie 48000·— Mk. Rocznie 96000·— Mk. Ameryka: 8 dolarów rocznie. Numer pojedynczy 15 centimów.

Ceny ogłoszeń: Od miejsca wiersza milimetrowego jednoszpaltowego na str. ostatniej Mp. 200., od miejsca wiersza milim. jednoszp. w części redakcyjnej Mp 600.

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 479.

Redakcja otwarta dla stron od 10 — 12. Rękopisów i fotografji Redakcja nie zwraca

Należytość pocztowa opłacona ryczałtem. Numer pojedynczy 3000 Marek.

Rok XX. Kraków, 7 lipca 1923. Nr. 27.

Straszna katastrofa automobilowa pod Krakowem





Z pobytu Królewskiej Pary Rumuńskiej w Polsce: Król Ferdynand i prezydent Wojciechowski na manewrach w Rembertowie.

Zmiana na stanowisku ministra skarbu.

P. Grabski ustąpił. Miejsce jego zajął dotychczasowy dyrektor Pocztowej Kasy Oszczędności (P.K.O.) i b. minister poczt i telegrafów p. Hubert Linde. Na stanowisku dyrektora PKO. p. Linde zaznaczył się dodatnio jako energiczny i pełen inicyatywy administrator.

Dotychczas jeszcze nie znaleźliśmy w Polsce człowieka, któryby łączył w swej osobie silną rękę polityczną i jasną myśl fachową, i na tem właśnie polega tragedya polskiej waluty. Radzibyśmy bardzo, gdyby w p. Lindem osobistość taka się odnalazła. Może on potrafi przekonać nasz sejm i senat, że punktem centralnym całego zagadnienia walutowego jest zaprzestanie nowych emisyi marki, i to zaprzestanie tak radykalne, jak swego czasu nastąpiło w Czechach a obecnie w Austryi.

Może on potrafi wreszcie finanse polskie naprawić. Życzymy mu tego szczerze — Trudno jednak przy tej sposobności nie zaznaczyć, że najważniejszym warunkiem przeprowadzenia naprawy skarbu — jest zaniechanie ustawicznej zmiany na stanowisku ministra tegoż skarbu. Lepsze bowiem wyniki może dać plan nawet niedoskonały ale przeprowadzony do końca, niż 10 kolejnych, coraz to genialniejszych planów, ale zmienianych co pół roku. Więcej zrobi człowiek zupełnie przeciętny, najróżniejsze błędy popełniający ale kierujący się jednym planem i jedną ideą przez lat kilka, niż dziesięciu geniuszów finansowych zmieniających się co pół roku. Każdy z nich bowiem ma tylko tyle czasu, że zdąży odrobić to — co zrobił poprzednik, ale żaden nie może nawet jednej części pozytywnego planu swego doprowadzić do końca. Skarb i wojsko są tak subtelnemi instrumentami, że nie znoszą zbyt częstych zmian w kierownictwie.

To też sobie, skarbowi i nowemu ministrowi powinniśmy życzyć, aby działalnością swą p. Linde usunął konieczność nowej zmiany na okres jaknajdalszy.

Ostatnie słowa dymisyonowanego ministra.

Ustępujący z gabinetu p. Minister Skarbu w ostatnim numerze urzędowego tygodnika Ministerstwa Przemysłu i Handlu pod nazwa „Przemysł i Handel" zamieścił p. t. „Nowa fala kryzysu walutowego w Polsce" bardzo cenne i ciekawe uwagi, z których kilka podajemy niżej.

„Obserwowany w ostatnich tygodniach spadek marki polskiej budzi w społeczeństwie naszem poważne obawy o losy naszej gospodarki państwowej. Obawy te są łatwo zrozumiałe już nietylko dlatego, że kryzys jest tym razem szczególnie ostry, oraz, że nastąpił po dłuższym okresie stabilizacyi kursu marki polskiej. Obawy potęguje i szereg przypuszczeń nasuwa fakt, że spadek marki zbiegł się z momentem zmiany Rządu w Polsce.

Ażeby uprzytomnić sobie, że powyższy zbieg faktów jest tylko przypadkowy, oraz, żeby wyrobić sobie pogląd na istotny stan sprawy, należy przedewszystkiem unikać traktowania obserwowanego obecnie zjawiska spadku marki polskiej jako



Z pobytu Królewskiej Pary Rumuńskiej w Polsce: Królowa Marya konno z adjutantami objeżdża pole manewrów.

zagadnienia samego w sobie, lecz — odwrotnie — należy rozważać je na tle wciąż tych samych i w niczem w ostatnich czasach poważnie niezmienionych ogólnych niedomagań naszej gospodarki finansowej i skarbowej.

Plan sanacyi skarbu został — jak wiadomo — zakreślony na 3 lata. Plan ten ma polegać na systematycznem i stopniowem reformowaniu całokształtu naszego życia gospodarczego, a więc: ma umożliwić osiągnięcie równowagi budżetowej, ma w związku z tem ugruntować dochody Skarbu z podatków i z przedsiębiorstw państwowych, oraz przeprowadzić plan oszczędności państwowych, ma doprowadzić do zasadniczej reformy walutowej, ma uzdrowić i unormować stosunki handlowe Polski z zagranicą, ma — przez stworzenie podstawy dla oszczędności prywatnej — umożliwić narastanie kapitałów krajowych.

Dopokąd całokształt tych reform nie zostanie wprowadzony w życie, oddziaływają na nie i muszą oddziaływać te wszystkie bolączki, które wytworzyła u nas w kraju zakończona już pomyślnie wojna orężna i trwająca wciąż wojna finansowa przeciw Polsce jej licznych wrogów. W takich warunkach przez jakiś czas jeszcze musimy być przygotowani na sporadyczne „ataki naszej choroby finansowej", których groźbę usunie dopiero doprowadzenie do końca systematycznej pracy nad sanacyą podstaw życia gospodarczego".

Poczem jeszcze raz wyraźnie zaznacza p. Grabski, że kryzys walutowy wypłynął

„z pewnych zupełnie określonych czynników gospodarczych i walutowych, nie mających żadnego związku z naszą polityką".



Z pobytu Królewskiej Pary Rumuńskiej w Polsce: Prezydent Wojciechowski, minister jen. Szeptycki, marsz. Piłsudski i prezydent ministrów Witos przyglądają się ćwiczeniom w Rembertowie.



Nowy minister skarbu: Hubert Linde, b. minister poczt i telegrafów,

Dodawszy nadto, że kryzys ten już był z „góry do przewidzenia“, rozpatruje p. Grabski wewnętrzne i zewnętrzne jego przyczyny i na pierwszem miejscu stawia: emitowanie nadmiernej ilości banknotów:

„Nie może to nie odbić się ujemnie na kursie naszej waluty. Jeśli więc w marcu wydrukowaliśmy olbrzymią ilość marek, bo 660 miliardów, to nic dziwnego, że dziś widzimy tego skutki. Działa to przytem nie zawsze natychmiast, ale za to — jak to właśnie miało miejsce w danym wypadku odbija się potem gorzej“.

Poczem b. Minister tłómaczy fatalną zależność a raczej powiedzielibyśmy „powinowactwo z wyboru“ (Wahlverwandschaft) marki polskiej z niemiecką, ale wywody swoje kończy raczej optymistycznie i z otuchą na przyszłość:

„Postępy na drodze do reformy naszych finansow są już dziś widoczne.

Zapewniony jest wzrost podatków. Odnośne ustawodawstwo zamarudziło, co prawda, w Sejmie, w każdym jednak razie Rząd otrzymał już dziś szereg uprawnień w tej dziedzinie, dających mu możność uzyskania od społeczeństwa wzmożonych opłat na rzecz Skarbu. W szczególności wielką wagę należy przywiązywać do uchwalonego ostatnio podatku gruntowego.

W związku ze wzrostem podatków, oraz przeprowadzaną równolegle akcją oszczędnościową, poprawia się stale stosunek wydatków państwowych do dochodów. W r. 1919 dochody wyniosły 17 proc. wydatków. W r. 1921 — 30 proc., w r. 1922 razem z daniną — 56 proc. W roku bieżącym cyfra ta wzrośnie prawdopodobnie, po uwzględnieniu wpływów z podatku majątkowego, do 80 proc. Wykonywanie budżetu w roku bieżącym zdaje się potwierdzać te przewidywania, tembardziej, że obecnie Skarb jest więcej zabezpieczony przed stratami wskutek spadku marki.

Zmniejszenie się deficytu jest w ten sposób głównym dorobkiem dotychczasowej akcyi naprawy Skarbu.

Optymizm ten p. Ministra, znającego przecież dobrze naszą sytuacyę skarbową — powinien dodać otuchy wszystkim obywatelom.

Wybuch Wezuwiusza.

Jeszcze nie przebrzmiały wieści o groźnym wybuchu Etny, a już dał znak życia o sobie Wezuwiusz — ten jedyny wulkan czynny na stałym lądzie Europy o 10 km. od cudnego Neapolu. Do 79. roku przed Chrystusem uchodził Wezuwiusz za wulkan oddawna wygasły i martwy. Miał on wtedy wygląd ostro zakończonego stożka, otoczonego wałem o kształcie półksiężyca. Straszliwy wybuch zerwał wtedy cały szczyt wulkanu a odłamy skał, lawa, kamienie i popiół zasypały wówczas doszczętnie 3 miasta rzymskie: Pompeję, Herculanum i Stabję. Od tego czasu naliczono około 60 wybuchów Wezuwiusza. Najpotężniejszym w nowszych czasach był wybuch w r. 1872. w czasie ktorego zginęło 300 osób przyglądających się z oddąli temu niezwykłemu i efektownemu widokowi. Po każdym wybuchu szczyt wulkanu i krater ulegają zmianom. Obecnie Wezuwiusz znów rozpoczął gwałtowną czynność. Stożek wybuchowy, który urósł był do wysokości 200 stóp, dziś jest rozwalony, a z jego podstawy szerokiej na 120 stóp biją płomienie na wysokość 300 stóp. Kawałki skał i deszcz iskier strzelają co kilka chwil ku górze, a lawa wylewa się strumieniami.

Wypadek króla Alberta.

Bohaterski król Belgów Albert, uległ przed kilku dniami dotkliwemu wypadkowi. W czasie ćwiczeń wojskowych koń królewski spłoszył się i rzucił w bok. Król spadł z siodła łamiąc sobie rękę w przegubie. Wypadek ten nie grozi wprawdzie życiu króla, tem niemniej wywołał żywe poruszenie i zaniepokojenie wśród ludności otaczającej króla specyalną sympatyą i miłością.



Juan Gomez, prezydent Venezueli.

Straszna katastrofa automobilowa
pod Krakowem.

(Do illustracyi tytułowej.)

Na drodze Kraków-Myślenice koło Mogilan znajduje się szereg wyniosłości i niebezpiecznych skrętów, które już przed kilku laty stały się przyczyną tragicznej śmierci znanego w kołach krakowskich sportsmena ś. p. Ustyanowicza.

W ubiegłym tygodniu nowa tragedya rozegrała się w tem samem miejscu.

Korzystając z wyjątkowo, jak na obecne lato — pięknego dnia wybrali się na wycieczkę samochodową w stronę Zakopanego, inż. Nowocień z żoną i przyjacielem swym, wybitnym muzykiem drem Rebenem. Auto prowadził inż. Pacak.

Na skręcie tuż za Mogilanami rozpędzony samochód porwany przez siłę odśrodkową zjechał z drogi i stoczył się do fosy przydrożnej przewracając się i przygniatając jadące w nim osoby.

Skutek katastrofy był straszny. Inż. Nowocień zginął na miejscu. Dr Reben, wydobyty z kałuży krwi dawał jeszcze przez chwilę słabe znaki życia, lecz i on po kilku minutach wyzionął ducha. Pro-



Wybuch Wezuwiusza: Ostatnie zdjęcie krateru Wezuwiusza z pióropuszem dymu, ognia i pary.



Wypadek króla Alberta: Bohaterski król Belgów Albert I.



Tryumf pieśni polskiej w Amsterdamie: Chór krakowski „Echo“.

wadzący auto inż. Pacak uległ złamaniu ręki i potłuczeniom. Jedna tylko osoba, inż Nowocieniowa jakby cudem wyszła z katastrofy bez szwanku. Taż sama siła odśrodkowa, która przewróciła auto, wyrzuciła ją z siedzenia daleko, ocalając przed przygnieceniem.

Zamordowanie gubernatora Venezueli.

Według wiadomości z Carracas w Venezueli został tam zamordowany prezydent republiki Venezuela Juan Gomez podczas snu. Powód morderstwa nieznany. „Temps“ dodaje, iż Gomeza nienawidzono za jego bezwzględne występowanie przeciwko przestępcom politycznym, którzy wygnani z kraju kilkakrotnie podnosili protest przeciwko Gomezowi w Stanach Zjednoczonych i Europie.

„Echo“ krakowskie na międzynarodowym turnieju śpiewackim w Amsterdamie.

W dniach 2, 3, 7, 10, 17 i 24 czerwca odbywał się w Amsterdamie międzynarodowy turniej śpiewacki, w którym brało udział 61 chórów rozmaitych narodowości: Holendrów, Belgów, Niemców, Czechów, Węgrów i Polaków („Echo“ krakowskie, „Harfa“ warszawska). Do jury sędziowskiego należeli przedstawiciele świata artystycznego tych narodowości, oprócz Polski, która niestety „reprezentantów“ nie miała. Jedynym przedstawicielem Polski był poseł Wierusz-Kowalski w Rotterdamie, jako członek komitetu organizacyjnego. „Echo“ krakowskie, ze względów oszczędnościowych wyjechało tylko w zespole 34 członków z dyr. Bolesławem Wallek-Walewskim na czele. Zaznaczyć należy, że rząd udzielił w tak ważnej sprawie propagandy b. minimalnej subwencyi, a wyjazd doszedł do skutku dzięki zapobiegliwości i czynnej pomocy prezesa „Echa“, dyr. Banku handlowego Mieczysława Walczaka. Chóry współzawodniczącę podzielono na klasy pierwszo, drugo i trzeciorzędne, oraz „znakomite“ (excellents) i „honorowe“ według ich dotychczasowych konlifikacyi bądź to w turniejach krajowych bądź zagranicznych. Chór warszawski „Harfa“ śpiewał w dn. 3 czerwca, tzn. w jednej ze średnich kategoryi, i zdobył tem trzecią nagrodę.

Chóry t. zw. „honorowe“ (d'honeure) (klasy najwyższej), odznaczone na turniejach wszechświatowych śpiewały w ostatnim dniu a chóry z grupy tzw. „excellentes“ (znakomitych) do których należało krakowskie „Echo“ popisywały się w dniu 17 czerwca, przedostatnim. W dniu tym pierwszą nagrodę otrzymał chór węgierski z Budapesztu, „Budai-Dolarda“, drugą chór niemiecki z Essen, trzeci chór niemiecki z Solingien, czwartą „Echo“ krakowskie, piątą zaś najwybitniejszy chór belgijski „Echo du pouple“. Recenzye pism miejscowych podnoszą piękne brzmienie zespołu krakowskiego, złożonego z doskonałych głosów i wyborne ześpiewanie się, czego najlepszym dowodem było wykonanie trudnej kompozycyi B. W. Walewskiego, p. t. „Bajka o Kasi i królewiczu“ bez dyrygenta. Niezwykły aplauz publiczności był dowodem uznania słuchaczow, i w części nagrodził zawód śpiewaków krakowskich, którzy napróżno oczekiwali ze strony polskiego konsulatu jakiegokolwiek zainteresowania się. Przybyłych do Amsterdamu polskich śpiewaków powitał serdecznie tylko komitet miejscowy z prezydentem p. Van Praag i prezesem jury p. Coupersem na czele.

Był to pierwszy występ pieśni polskiej na arenie światowej. Ma on znaczenie zarówno dla propagandy politycznej, jak i dla stanowiska Polski w świecie kulturalno-artystycznym. Po raz pierwszy chór polski stanął do zawodów z innemi narodami Europy i zdobył w ich rzędzie poczesne a nawet wysoce zaszczytne miejsce. Dźwięki polskiej piesni rozległy się w dalekim nadmorskim Amsterdamie budząc sympatyę, uznanie i podziw wielojęzycznego tłumu słuchaczy. Pieśń polska okazała, że nie jest kopciuszkiem. lecz że jest równa najwybitniejszym. Jest to nietylko tryumf krakowskiego „Echa“ i jego dyrektora a jednocześnie kompozytora pieśni „o Kasi i królewiczu“, p. Walewskiego, lecz i tryumf pieśni polskiej, tryumf Polski.



Tryumf pieśni polskiej w Amsterdamie: Dyrektor krakowskiego „Echa“, Bolesław Wallek-Walewski, odznaczony w Amsterdamie nagrodą dyrektorską.

Tryumfy Paderewskiego w Paryżu.

Były prezydent ministrów i minister spraw zagranicznych Polski, wielki patryota Ignacy Paderewski porzucił politykę i wrócił do ukochanej przez siebie sztuki. Po szeregu niezwykłych sukcesów odniesionych w Ameryce, przybył do Paryża i tam wystąpił na dwóch kon certach, cały dochód z nich przeznaczając na cele dobroczynne. Paryż cały przyjął Paderewskiego entuzyastycznie. Na koncerty genialnego pianisty, bo tak nazywa go powszechnie prasa paryska, nie można się było docisnąć. Pomiędzy publicznością zasiedli w pierwszych miejscach prezydent Francyi p. Millerand, prezydent ministrów Poincare, ministrowie, ambasadorowie i najwybitniejsze osoby „całego Paryża“. Samo pojawienie się Paderewskiego na estradzie wywołało gorącą, owacyjną manifestacyę, a po odegraniu przezeń utworów Liszta i Chopina — wybuchła burza entuzyazmu. Paderewski zarzucony został kwiatami.

Tak owacyjnego i entuzyastycznego przyjęcia nie miał oddawna w zblazowanym Paryżu — żaden z artystów.

Po przewrocie w Bułgaryi.



Po zamachu stanu w Sofii: Kompania karabinów maszynowych na placu przed katedrą w Sofii. Z boku rusunku portrety obalonego dyktatora Stambolijskiego i nowego prezydenta ministrów Aleksandra Zankowa.

PAWEŁ ROSENHAYN.

„PALADYN"

Lodowate fale Skagerraku silnie miotały małym parowcem „Telemarken". Tu, u północnego przylądka Danii, ścierały się ze sobą fale morza Wschodniego i Północnego w zapamiętałej jakiejś walce, a wyjąca burza wiosenna piętrzyła je w potężne wały i roztrzaskiwała wśród kłębów piany. Ale mały parowiec przebył już najgorsze. Wprawdzie ster wykazywał dotkliwe ślady burzy, a na pokładzie widać także było jej działalność, ale miotanie statkiem stawało się już coraz słabsze, a fala coraz rzadziej przetaczała się przez pokład.

Dym parowca, rozciągnięty w długi poszarpany sztandar, zwolna zmieniał swój kierunek i układał się w poprzek okrętu ponad łodziami ratunkowemi, kołyszącemi się w swych łożyskach. „Telemarken" przybierał kurs ku zachodowi. Jeszcze kilka silnych fal uderzyło o okręt i podniosło go do góry, ale wnet statek wpłynął na spokojniejsze wody norweskie, rozciągające się jakby ochronne ramiona matki koło południowych brzegów skandynawskich.

Na pokładzie zwolna zaczęło się budzić życie. Podróżni, którzy przed szaleństwem burzy pochowali się po kajutach, zaczęli powoli jeden za drugim wychodzić na zewnątrz. Na bladych twarzach znać było jeszcze strach nieprzespanej nocy. Służba okrętowa zjawiła się z dymiącą herbatą, skwapliwie wyciągnęły się po nią ręce i wnet zaróżowiły się policzki i jaśniej zaczęły spoglądać oczy.

Kapitan spojrzał ku wschodowi i uśmiechnął się: ponad poszarpanymi skałami bazaltowymi zaczęły się ukazywać pierwsze brzaski świtu.

Na mokry pokład wysunął się po schodkach jeden z podróżnych i odetchnął głęboko. Potem rozglądał się w około, jakby kogoś szukał, podsunął się do mostku kapitana, podniósł na powitanie rękę do kaszkietu i zawołał:

— Hallo! Panie Jenkins, czy pan tam stał cały czas?

Na mostku obok kapitana stał mężczyzna w długim płaszczu gumowym. W odpowiedzi na powyższe pytanie skinął on głową z uśmiechem i poklepał kapitana po ramieniu.

— Tak jest — rzekł — my dwaj przetrzymaliśmy!

Odsunął zasówkę od pomostu i wolno zeszedł po schodkach na pokład.

— No, a pan, panie Blomdal? — zapytał.

Zapytany uśmiechnął się z zakłopotaniem.

— Aha, więc jeżli dobrze przypuszczam, siedział pan w jadalni.

Pan Blomdal skrzywił się.

— W jadalni? — zawołał — O nie. Poszedłem do łóżka, położyłem się i nakryłem głowę kocem.

Jenkins roześmiał się.

Blomdal z komicznym wyrzutem spojrzał na tego amerykańskiego detektywa, który go przerastał prawie o głowę.

— Łatwo się panu śmiać. — zawołał — Jeźli na oceanie czuje się pan jak u siebie w domu, to taki kawałeczek Skagerraku nie imponuje panu!

Amerykanin wydobył z przepaścistej kieszeni swego płaszcza krótką fajeczkę i zaczął ją z uwagą nakładać tytoniem.

— Jeźli pan nie znosi morza — rzekł po chwili — to czyż nie lepiej siedzieć wygodnie w domu, na stałym lądzie

Zapytany potrząsł gniewnie głową.

— Ja też nie jeżdżę dla przyjemności — odparł — ja muszę jeździć, rozumie pan, muszę podróżować, gdyż tego wymagają moje interesy!...

— Czy ma pan może zapałki? — zapytał Amerykanin obojętnie.

Norweg gwałtownie dobył zapalniczkę i podsunął detektywowi płomień.

— Dziękuję — skinął Joe Jenkins i dmuchnął potężnym obłokiem dymu.

— ...A zresztą, ja wogóle nie rozumiem pana, panie Jenkins. Jeźli rzeczywiście jest prawdą, co mi pan mówił o swem podróżowaniu dla przyjemności, to mógłby pan teraz siedzieć wygodnie w pięknej Kopenhadze, słuchać co wieczór wspaniałej opery i codziennie flirtować z pięknemi kobietami. Tymczasem panu się zachciewa widzieć koniecznie fiordy i aby przepłynąć Skagerrak, wyszukuje pan właśnie czas burzy!... Zwaryowani ci Amerykanie!... pan wybaczy.

— Ależ proszę — roześmiał się detektyw — niech się pan nie krępuje. Ale ja już jestem taki. Bez tej odrobiny niebezpieczeństwa cała podróż nie sprawiałaby mi przyjemności. Tymczasem uczuwam wyraźnie apetyt na whisky. Chodź pan ze mną, panie Blomdal, zapraszam pana.

Brzegi przybliżały się, mgła zaczynała ustępować.

Obaj mężczyźni doświadczonymi krokami podróżników okrętowych zeszli po schodkach do salonu dla palących.

Chłopiec okrętowy przyniósł pełne szklanki.

— Wie pan co, panie Jenkins — zaczął Norweg i pociągnął spory łyk — wie pan, ja już dużo słyszałem o panu i o pańskich przygodach. Może pan sobie wyobrazić, że nie mało mię to zaskoczyło, gdy usłyszałem pańskie nazwisko i że bardzo pragnąłem poznać się z panem. To, co o panu słyszałem, to - mówię szczerze, mam uczucie, że zawsze miał pan tylko olbrzymie szczęście.

— Szczęście? — powtórzył Amerykanin — O ile szczęście?

— Otóż ja przypuszczam, że zawsze miał pan do czynienia z ludźmi, nad którymi już z góry miał pan przewagę.

— Sądzi pan?

— Miewał pan łatwą grę, panie Jenkins, szczęśliwy zbieg okoliczności pomagał panu. Przypuszczam, że gdyby pan pewnego dnia natknął się na kogoś z tej drugiej połowy ludzi, że się tak śmiem wyrazić, z tej, że tak powiem mądrzejszej połowy, to kto wie, czy dałby pan sobie radę...

Detektyw spoglądał obojętnie w małe okrągłe okienko okrętowe, w którem w rytmicznych odstępach pojawiała się zielona fala i znikała. Po jego twarzy błądził nieokreślony uśmiech. Zwolna zwrócił się do swego towarzysza, spojrzał mu w twarz i rzekł:

— Pan myśli o tem, że może pewnego dnia będę miał z panem do czynienia, panie Blomdal?

Blomdal uśmiechnął się.

— Może. — odpowiedział — Może być, że myślałem o sobie.

Detektyw kiwnął głową i zaczął z uwagą przypatrywać się lampie mosiężnej, kołyszącej się na sznurze.

— Pan myśli — zaczął zwolna — o dyamencie, który...

Blomdal wstał z krzesła, skrzyżował ręce na plecach i krótkimi krokami przeszedł się kilka razy po małym salonie. Nagle zatrzymał się przed Amerykaninem i rzekł:

— Nie prawdaż, panie Jenkins... aby wydostać „Paladyna", opłacić się może mała podróż dla przyjemności?...

Detektyw ruszył ramionami.

— Przypuszczam. — rzekł — Ale to nie będzie łatwem, prawda?

— To więcej niż pewne. Już kilku połamało sobie na tem zęby!

Przechylił szklankę do ust i wypił resztę jednym tchem.

— Wszyscy połamali sobie na tem zęby, wszyscy. I mówię panu, panie Jenkins, pana czeka to samo. Gwarantuję panu! Z tej podróży dla przyjemności - tu roześmiał się szyderczo — powróci pan z próżnemi rękami do mojej żony!

Joe Jenkins patrzył z uwagą na błyszczące główki gwoździ, któremi wybita była podłoga kajuty.

— Więc sądzi pan na prawdę — zapytał — że jadę do Chrystyanii, aby panu „Paladyna" odebrać?

Blomdal spojrzał na niego bystro.

— Ani na chwilę nie wątpiłem o tem - rzekł ostro — usłyszawszy pańskie nazwisko.

Amerykanin roześmiał się.

— A więc mielibyśmy wypadek, o którym pan przedtem mówił. Więc znalazłbym przeciwnika godnego siebie. Ale skoro zna pan moje zamiary, więc przyznam się panu: ma pan racyę. Walczmy więc z otwartemi przyłbicami! Wszystko jest tak, jak pan przypusza: pańska żona poleciła mi wydostać „Paladyna". Mam jej oddać jej własność, którą pan zatrzymuje bezprawnie.

Norweg zmarszczył brwi.

— Jeźli moja żona ma dowody w rękach, że „Paladyn" do niej należy, to dlaczego nie odbierze go sobie sądownie?

Amerykanin spojrzał ostro w oczy Blomdalowi.

— Pan wie dokładnie, dlaczego pańska żona tego nie robi: nie chce publicznego skandalu, jaki proces musiałby wywołać. I to proces, który musiałby pan bezwarunkowo przegrać, panie Blomdal.

— A w którym to procesie cały świat dowiedziałby się, że przyłapałem moją żonę z jej kochankiem!

-- Zupełnie słusznie. Przynajmniej tak to wówczas wyglądało... Ale niezawodnie wie pan tak samo dobrze, jak i ja, że były to pozory, jak się to nieraz zdarza i że tylko nieszczęśliwy zbieg okoliczności sprawił, iż wprawdzie znalazł pan swoją żonę w pokoju jej przyjaciela z lat młodości...

— Tak, tak, już wiem, co mi pan chce powiedzieć. W to można wierzyć i w to można nie wierzyć. Ja osobiście nie wierzę. Trzymam się tego, co widziały moje oba oczy. Zresztą krótko i węzłowato: „Paladyna" nie oddam.

Detektyw kiwnął potakująco głową.

— Nie spodziewałem się czego innego — rzekł — a jednak obawiam się, że pańskie ostrożności na nic się nie przydadzą.

— Co to ma znaczyć?

— Otóż, ja sądzę, że do trzech dni będę miał „Paladyna" w rękach.

Na okręcie rozległy się trzy uderzenia w gong. Norweg spojrzał pytająco.

— To dopiero pierwszy znak — rzekł Jenkins spokojnie — mamy jeszcze czas.

Na schodkach dały się słyszeć kroki, kilku zgłodniałych podróżnych wtloczyło się do sali.

— Ciekawy jestem — zaczął Blomdal z zamyśleniem — jak się pan do tego weźmie. Może za pośrednictwem policyi? Otóż sądzę, że w tym względzie nie potrzebuje się pan łudzić. Legalnej drogi do zabrania mi „Paladyna" nie ma wogóle, panie Jenkins!

Amerykanin kiwnął ręką przecząco.

— Wcale nie myślę o tem, aby się zwracać do policyi.

— Więc to znaczy, że chce się pan włamać? — zawołał Blomdal i roześmiał się serdecznie. — A no, to próbuj pan! Niech mię pan pobije, jeźli pan może. Zabezpieczyłem mój dom przed takiemi wizytami. Wszystkie pokoje, wszystkie drzwi, wszystkie story zaopatrzone są w dzwonki elektryczne, każdy niepowołany krok w moim domu zaalarmuje służbę. Kasa pochodzi z pierwszorzędnej fabryki. Nie, panie Jenkins, proszę nie liczyć na to, aby mię pan podszedł!

Detektyw zaczął się śmiać.

— Ja też wcale nie mam zamiaru podchodzić pana. Najprawdopodobniej, według wszelkich form, podam panu godzinę, a nawet minutę, w której zabiorę „Paladyna".

— Pan robi żarty.

— Ani mi to w głowie — oświadczył Jenkins spokojnie.

Gong rozległ się po raz drugi. Obaj podnieśli się z miejsc.

— Nie, panie Jenkins — zawołał Blomdal i zaczął się głośno śmiać — to jest wyborny żart z pańskiej strony! Zapraszam pana na flaszkę Pommery.

— Tak to lubię. Ma pan humor. Jest pan godnym mnie przeciwnikiem. I cieszę się, że będę mógł z panem skrzyżować szpadę.

Norweg stanął nagle i spojrzał Amerykaninowi w oczy.

— Pan powiedział, że poda mi pan godzinę swych szanownych odwiedzin?

— Godzinę i minutę.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Wina i pokuta

6) (Z angielskiego).

— Rozprawa, która odbędzie się na skutek doniesienia prokuratoryi przeciwko panu — mam nadzieję, że wyjaśni wszystko.. Jeżeli sprawa weźmie obrót pomyślny dla pana, będzie mi bardzo miło, bo dotychczas cieszył się pan ogólnym szacunkiem...

— Ależ...

— Na razie muszę stwierdzić stan rzeczy i zadać panu kilka pytań.

— Proszę, niech pan pyta...

Z warg Mortona, który opuścił się ciężko na fotel, uciekła krew. Błędnym jakimś wzrokiem wpatrywał się w komisarza.

— Zatem przyznaje pan, że sztylet należy do pana?

— Należał... W chwili kiedy spełniono morderstwo, sztylet ten nie był już moją własnością...

— Jakto?

— Podarowałem go Robertowi.

Komisarz nawet nie starał się ukryć niedowierzania.

— To byłoby niezmiernie proste wytłómaczenie. Ale gdzie dowody? I skąd pan przyszedł do posiadania broni, która jest pochodzenia wschodniego? Czy pan kolekcyonuje takie rzeczy?

— Nie. Sztylet ten otrzymałem od starego antykwarza Żyda Mojżesza Goldenringa na Square street.. Był mi winien pewną sumę pieniężną i nie mogąc wypłacić ofiarował ten sztylet... Może go pan zapytać... Nazwisko moje kazałem na pochwie wyryć dopiero później... Mogę panu służyć nazwiskiem grawera.

— To wszystko drobnostki — rzekł komisarz. — Ale jak się to stało, że pan podarował sztylet, na którego pochwie wyryte było pańskie nazwisko?

— Stało się to w pierwszych dniach — zaraz po powrocie Roberta z Indyi. Sztylet podobał mu się bardzo, mówił, że nigdy nie widział tak pięknej misternej roboty.

— I prosił o podarowanie mu sztyletu?

— Sam mu go ofiarowałem. Nie zależało mi na tem cacku, a chciałem Robertowi zrobić przyjemność.

— Ma pan na to świadków?

Morton zamyślił się.

— Może moja siostra... Ale nie, bo właśnie wtedy nakrywała do stołu w jadalni... Robert miał u nas zostać na obiedzie.

— A potem już nic o tej sprawie nie mówiono?

— Nie. Pocóżby? Robert schował sztylet do kieszeni i koniec na tem.

— Chciałbym jednak pańską siostrę odnośnie tej sprawy przesłuchać. Może sobie coś przypomni.

— Niestety, wyjechała.

— Szkoda. Panie Morton! w nocy z 27-go na 28-go maja był pan na koncercie w hotelu „Splendid" i służył pan hypnotyzerowi Haired-din-beyowi za medyum... Czy pan sobie przypomina może, co on panu suggerował?

— Nie, tego absolutnie sobie nie przypominam.

— Ale ja wiem co to było. On budził w panu uczucie zazdrości miłosnej i w swoim śnie hypnotycznym rzucał się pan na urojonego rywala, aby go zamordować...

Morton uczuł, że serce mocno szarpnęło mu się w piersi.

— Nic sobie z tego wszystkiego nie przypominam... I nikt ze znajomych nie opowiadał mi o tem...

— A czy pan wie co to jest suggestya posthypnotyczna?

— Wiem, jest to suggestya, której działanie trwa po obudzeniu zahypnotyzowanego.

— Otóż to właśnie. Czy nie sądzi pan, że Haired-din-bey mógł mieć jakiś interes w budzeniu takich a nie innych uczuć w panu?...

— Nie rozumiem pana — odrzekł szczerze Morton.

— Może śmierć Macmorrisa mogła mu przynieść jakieś korzyści...

— Nie wiem, czy on wogóle znał Macmorrisa... W tym kierunku nie mogę dać żadnych informacyi — odparł chemik, który nie mógł pojąć, do czego komisarz zdąża.

— A o której godzinie opuścił pan wtedy hotel „Splendid"?

— O której?... doprawdy nie wiem... nie pamiętam...

— Pomogę pańskiej pamięci... Było to przed północą...

— Prawdopodobnie... i mnie się tak wydaje..

— I dokąd pan poszedł stamtąd?...

— Nie wiem...

— Jakto nie wie pan, dokąd pan poszedł?

— Byłem ogromnie podrażniony, zdenerwowany... Zdaje mi się, że błądziłem po ulicach dłuższy czas bez celu...

— Ale w mieszkaniu Macmorrisa pan nie był?

— Z pewnością nie!...

— Widziano pana jednak kilkakrotnie w pobliżu willi Orichtona.

— To możliwe.

— A więcej nie ma mi pan nic do powiedzenia, panie Morton? — zapytał komisarz, przeszywając młodego chemika przenikliwem spojrzeniem swoich stalowych źrenic.

Morton wzruszył ramionami.

— Doprawdy, że nie wiem, cobym mógł panu jeszcze ciekawego powiedzieć...

— W takim razie poproszę pana, ażebyś mi zechciał towarzyszyć...

— Dokąd?

— Do sędziego śledczego.

Wargi Mortona zadrżały.

— Więc to znaczy, że jestem aresztowany?

— Jeśli pan nie potrafi dać innych wyjaśnień ponad te, co przed chwilą — aresztowanie jest nieuniknione...

— Więc proszę mi pozwolić na chwilę..,

— O! dokąd to, proszę pana? — komisarz Gray zastąpił mu drogę. Jeżeli miał przed sobą zabójcę z zazdrości, to należało strzedz go przed samobójstwem.

— Chcę tylko napisać parę słów do mojej siostry, która wyjechała do chorej przyjaciółki i może lada chwila powrócić...

— Pozwoli pan, że będę niedyskretnym i list ten przeczytam.

— Ależ, proszę bardzo. Chodzi mi tylko o to, aby biedaczkę trochę uspokoić. Ona mnie tak bardzo kocha...

* * *

Henryk Morton z pierwszego przesłuchania u sędziego śledczego powrócił do swej celi jak lunatyk.

Sędzia stawiał mu te same pytania, co poprzednio komisarz, a on dawał identyczne odpowiedzi. Wszak nie mógł inaczej odpowiedzieć. A jednak dręczyło go jakieś głuche przeczucie, że nie wszystko powiedział, że więcej wiedzieć powinien, niż zawodna pamięć chce mu objawić.

Ale ilekroć usiłował myśleć o tem, czuł przykry ból w mózgu, jakby mu czaszkę przeszywał jakiś ostry, rozpalony drucik.

Godzinę przeszło siedział, posępnie zadumany — na kraju twardego, więziennego łóżka, gdy nagle drzwi otwarły się.

Morton, sądząc, że to jest dozorca ze strawą, nawet nie podniół głowy.

— Panie Henryku...

Dźwięk tego głosu zelektryzował więźnia.

— Ach! to pan, panie mecenasie!... Przyszedł mnie pan odwiedzić!...

— Byłbym to zrobił wcześniej, gdybym się zdołał uwolnić od nawału zajęć!... Panie Henryku, poprostu wierzyć mi się nie chce!.. Ten nieszczęsny zbieg okoliczności i ta pasya detektywiczna Graza, który już przedtem węszył jakąś niesłychaną historyę!... I jak pan pod tem okropnem podejrzeniem cierpieć musi!...

Morton przerwał potok słów adwokata Thompsona.

— Dziękuję panu — silnie uścisnął młodemu prawnikowi rękę — o mnie mniejsza, każdy ma to, na co zasłużył, ale moja biedna siostra...

— Czy miss Molly wróciła?!

— Zapewne już, albo dziś, jutro... Zostawiłem jej kartkę z kilku słowami, ale cóż to znaczy!... Wyobrażam sobie jej niepokój!... rozpacz!...

— Odwiedzę miss Molly, skoro tylko przyjedzie i postaram się ją uspokoić...

— Doprawdy? zrobi to pan? Moja wdzięczność dla pana... Tylko niech pan ją ostrożnie zawiadomi...

— Będę się starał wlać w jej serce otuchę i nadzieję... Nadzieję najkompletniej uzasadnioną... Pozwoli pan, że obejmę pańską obronę.. Dotychczas zwykle udawało mi się nieźle... A przytem pańska niewinność...

— Niewinność!... — powtórzył jak echo Morton. — Czy pan istotnie jest tak niezłomnie przekonany o mojej niewinności?...

Thompson zaśmiał się, ale śmiech jego dźwięczał trochę nienaturalnie.

— Pan żartuje, panie Henryku!... Widzę, że pomimo przykrej sytuacyi — jest pan w dobrym humorze; bo przecież nie chce mi pan powiedzieć...

— ...Że jestem winnym... Ba! gdybym to w mojej świadomości mógł odszukać dowody mej niewinności... Ale w łańcuchu wypadków ostatnich dni brakuje jakiegoś ogniwa... Dwa strumienie krwi rwą i szaleją... jeden w tę, drugi w tamtą stronę, czuję to dobrze, ale połączenia brak!... Most zerwany!...

— Panie Henryku!... na miłość Boską!...

Morton osłupiałym wzrokiem spoglądał przed siebie.

— Czyż my możemy powiedzieć, że znamy samych siebie? Kto wie?... możemy mieć dwie dusze, w jednym człowieku może być dwóch ludzi... Byłem raz w teatrze na takiej sztuce... Prokurator, który prowadzi śledztwo w sprawach przestępstw, których dopuszcza się jego drugie „ja". A ja w moim mózgu nosiłem dziwny niesamowity obraz: jego twarz — Roberta!... I tego nieszczęsnego wieczoru także... Ale od czasu śmierci Roberta — obraz zniknął... Dlaczego? Co się w tem kryje?... Może oni mają racyę... może ja naprawdę zamordowałem Roberta...

Na twarzy adwokata malowało się przerażenie.

— Ależ to szaleństwo! — wykrzyknął. — To jakieś halucynacye!... przywidzenia!... pan jest chory!.. bardzo chory!... I nie sędzia, ale lekarz powinien się panem zaopiekować...

— A jednak... coraz mocniej to czuję, że to ja... że to ja... za...mordowałem...

Głos łamał mu się, zamierał w gardle. Opadł na łóżko, ukrył twarz w poduszce i trwał tak bez ruchu.

Thompson opuścił celę przygnębiony, prawie zrozpaczony.

Następnego dnia dzienniki przyniosły senzacyjną wiadomość, że inżynier-chemik Henryk Morton wyznał, iż to on zamordował Roberta Macmorrisa. Czynu tego dokonał w stanie zupełnego zaćmienia świadomości, tak że żadnych szczegółów zabójstwa nie przypomina sobie i podać nie może. Powodem zbrodni była straszliwa, opętańcza zazdrość, granicząca z niepoczytalnością!...

— Nie wiem kiedy, nie wiem jak — oświadczył Morton — ale zamordowałem!...

Dla zbadania jego stanu umysłowego — odesłano Mortona do kliniki psychiatrycznej.

ROZDZIAŁ IX.

„Ja! go zabiłam!..".

Alicya Belmore niecierpliwie uderzyła nogą w posadzkę wyścieloną miękkim kobiercem.

— Katty!...

— Już idę, proszę pani...

— Gdzież ty siedzisz tak długo? Chodź-że!...

— Ależ jestem!.. jestem!...

I Katty wbiegła do pokoju, niosąc w ręku niewielki pakunek...

— Ach!... jak wielmożna pani dziwnie wygląda...

— Dziwnie? dlaczego? co ci znowu przyszło do głowy...

— W tej czarnej aksamitnej sukni, to pani wygląda jak królowa, ale jak taka co ma iść na pogrzeb... Jakby jakieś nieszczęście stać się miało...

— Głupia jesteś!... denerwujesz mnie, a wiesz, że teraz potrzebuję spokoju przed moją podróżą... Zamiast pleść głupstwa, bierz się do pakowania... Nie mam ochoty spóźnić się na pociąg... W Ameryce czekają na mnie..

Katty westchnęła ciężko:

— Ach! Boże... pani odjeżdża na tak długo... do Ameryki... ta daleka podróż morska... jakżebym się cieszyła, gdyby pani była już z powrotem...

— Powrót?... cóż mi po powrocie? — wyszeptała artystka. — No pakuj, pakuj Katty — tylko uważnie i nie mów tak wiele...

Katty już miała odejść, ale jeszcze zatrzymała się w progu. Chwilę wahała się, wreszcie rzekła:

— Przepraszam panią, ale może panią zainteresuje...

— Katty, ty wiesz przecie, że mnie obecnie prócz mej podróży i mojej roli nic nie interesuje!...

— Nawet to, że pan Morton wrócił?...

Alicya spojrzała na nią.

— Wrócił... do swojej pracowni... do siostry... o! jak to dobrze...

Radosne wzruszenie wyjrzało jej z oczu.

— Więc naprawdę wrócił?...

— No tak z tego zakładu dla waryatów...

— Uznano go za zdrowego?

— Tak.

— I jest już u siebie w domu.

— E, gdzie tam w domu!... wrócił do więzienia...

— Do więzienia!...

Alicya ciężko opadła na fotel, jakby jej nogi odmówiły posłuszeństwa.

— I... co się z nim dzieje?...

— Miss Molly była wczoraj u niego...

— No i...

— Biedna panienka!... Ona szaleje wprost z rozpaczy, bo brat powiedział jej...

— Co takiego?!

— Że to on z wszelką pewnością zamordował, i że za to odpokutować powinien...

Alicya tak niespodzianie, tak nerwowo skoczyła na równe nogi, a oczy jej takim dziwnym ogniem pałały, że Katty cofnęła się przerażona. Zdawało się dziewczynie, że jej pani zwaryowała...

— Ach! Boże... gdybym była wiedziała, że to panią tak bardzo zdenerwuje...

— I on upiera się ciągle przy tem wyznaniu winy — chociaż jest przy zdrowych zmysłach!... Nie powinni go byli jeszcze z Zakładu wypuszczać!...

— Pan Morton twierdzi, że teraz już nie tak było... Nieprzytomny z miłości i zazdrości poszedł do mieszkania pana Macmorrisa i sam nie wiedząc o tem zabił go!...

— To nieprawda!... nieprawda!...

— Proszę pani, przecież chyba on sam najlepiej wie...

— Chce umrzeć!.. gubi się dobrowolnie, ale kłamie!... I zanim prokurator wniesie oskarżenie... — mówiła Alicya gorączkowo już nie do Katty, ale do samej siebie — zanim on stanie przed sądem...

Ostry dźwięk dzwonka.

— Masz tobie — wizyta!... teraz!... kiedy tyle jeszcze pakowania!... Zobacz, Katty, kto to taki... I naturalnie niema mnie w domu — dla nikogo!...

Katty wyszła i powróciła po chwili.

— Któż to?..

— To jakaś pani...

— Chyba nie mis Morton?

— Ależ nie. To jakaś starsza pani. Mówi, że była u miss Morton i koniecznie chce widzieć się z panią. W żaden sposób nie chce ustąpić, Wie, że pani jest w domu. — To jakaś bardzo dystyngowana dama — w grubej żałobie..

— W żałobie?

— Tak. I cóż mam jej powiedzieć?

— Proś.

— Może do salonu? Tutaj taki nieporządek dzisiaj.

— Wszystko jedno. Proś tę panią tutaj.

Na progu ukazała się wyniosła postać kobiety, otulonej w czarną krepę. Z pod żałobnych welonów spojrzała na Alicyę twarz z koroną srebrnych włosów nad czołem — o rysach regularnych i pięknych, ale surowych i cerze przywiędłej, sieciami zmarszczek porysowanej.

Alicya odrazu poznała, że ma przed sobą matkę Roberta... Te same energicznie nakreślone usta, ten sam pięknie rzeźbiony nos, to samo spojrzenie bystre, rozumne, wnikliwe... Tylko z twarzy matki życie starło już barwy młodości i przygasiło płomień wzroku.

— Ach! więc to pani!... — w głosie sędziwej kobiety brzmiał pełen zachwytu podziw, a jednak Alicya pobladła...

— Alicya Belmore... — przedstawiła się lekko drżącym głosem.

— Jestem matką Roberta Macmorrisa...

— Domyśliłam się... — wyszeptała artystka zbielałemi wargami.

— Podobny był do mnie prawda?... Mój biedny, biedny chłopak...

Spojrzenie matki Roberta, pomimo, że życzliwe, dręczyło artystkę. Odwróciła nieco głowę, aby swemu gościowi nie patrzyć prosto w oczy.

— Pani raczy usiąść...

Pani Macmorris usiadła na fotelu.

— Pani wybaczy, że ją niepokoję.. Byłabym ją oddawna odszukała, ale wiadomość o śmierci mojego syna przyprawiła mnie o ciężką chorobę... Przez trzy miesiące walczyłam ze śmiercią... I dopiero teraz, kiedy już liście z drzew opadają, danem mi było odwiedzić grób mego chłopca...

— Pani dawno przyjechała do Londynu? — zapytała Alicya, aby coś powiedzieć.

— Dzisiaj rano. Byłam już na cmentarzu, potem w domu Mortonów... Nie mogłam jednak opuścić Londynu, nie widząc pani... Wszak pani była ostatnią osobą, która rozmawiała z Robertem...

— Tak... ja byłam ostatnią.. — wybąkała Alicya.

Po chwili dodała głośniej:

— Miss Morton zapewne opowiadała pani o mnie?

— Powiedziała mi o pani tyle dobrych rzeczy, że ze skruchą wyznaję, iż muszę wstydzić się moich przesądów, które w stosunku do pani żywiłam...

Alicya uśmichnęła się smutnie:

— Cóż to dziwnego?... Opinia publiczna nie zna różnic między aktorami i wszystkie rzeczy mierzy jedną miarą...

— Tem trudniej wyzbyć się tych poglądów zastarzałych na głębokiej wsi albo tam w Inyach...

— Wiele z moich koleżanek podtrzymuje te przesądy swojem postępowaniem!..

— Ale pani jest zupełnie inną, godną szacunku kobietą! Mis Morton otworzyła mi oczy i dlatego zapragnęłam się widzieć z panią... Wszak pani odczuwa i podziela mój ból...

Alicya nie podnosiła głowy. Oczy jej uporczywie uciekały przed oczyma matki Roberta.

— O! gdyby pani wiedziała, ilem wycierpiała.. Ale najstaszniejsze tkwi w tem, że niewinni ludzie cierpią również przez to...

— Pani ma na myśli Mortona, który niegdyś był przyjacielem Roberta?... Tak, trzeba współczuć temu nieszczęśliwemu bo choć jego ręka zabiła mi syna, ale nie działała kierowaną świadomą wolą... To było tylko ślepe narzędzie...

— Więc pani istotnie wierzy w to, że on zabił...

— Potem, co mi mówiła jego siotra — nie mam już wątpliwości... Ale powtarzam, nie potępiam go... On był tylko narzędziem w ręku prawdziwego winowajcy..

— Prawdziwego winowajcy... na miłość Boską!... kto to taki?!..

Widoczne wzruszenie aktorki — przepełniało życzliwością dla niej serce pani Macmorris.

— Ona naprawdę kochała Roberta! — pomyślała i rzekła głośno:

— Droga miss Belmore, niech się pani uspokoi!... Trzeba się poddać woli Bożej!...

— Ale kto ten...

— Jakto nie wie pani... nie czytała pani dzisiejszych dzienników?...

— Jeszcze nie miałam czasu przejrzeć ich... jutro odjeżdżam do Ameryki... Ale kto to?... kto?!..

— No ten hypnotyzer, który młodemu Mortonowi zasuggerował zbrodnię... I w dodatku to nasz bliski krewny!...

— Haired-din bey?! Ale skąd wpadli na ten pomysł?!

— Komisarz, który bada sprawę zamordowania oddawna już był na śladzie... Zeznania miss Molly, adwokata Thompsona i całego szeregu osób, które były świadkami seansu w Hotelu „Splendid" potwierdziły podejrzenie... A zresztą czyż nie najlepiej świadczy fakt, że zaraz po morderstwie zniknął z Londynu, ukrywał się przez parę miesięcy a teraz wypłynął znowu i występuje ze swemi prawami do spadku... Istotnie!... śmierć mojego syna zapewniła mu spadek!...

— A zatem...

— Zatem rzeczą jest jasną, że mając w tem swój cel, użył Mortona, jako najbardziej w tym wypadku podatnego medyum — do wykonania zbrodni... To nie pierwsza w dziejach kryminalistyki zbrodnia popełniona pod wpływem hypnozy...

Alicya ścisnęła ręką poręcz fotela, na którym siedziała:

— I... i... aresztowano go?...

— Naturalnie, ale trudno mu będzie cośkolwiek udowodnić. Oczywiście nie chce przyznać się do winy i twierdzi, że o rywalizacyi i wrogim stosunku Roberta i Henryka Mortona nic wogóle nie wiedział!...

Staruszka, która dotychczas panowała po bohatersku nad swoim bólem, wybuchnęła płaczem:

— Boże mój! Boże!... — zakryła twarz rękami — do nieszczęścia jeszcze hańba!... Boć właściwym zbrodniarzem jest człowiek, należący do naszej rodziny!...

Alicya przyklękła przed panią Macmorris i starała się oderwać jej ręce od łzami zalanej twarzy:

— Niech pani nie płacze, może ten człowiek jest niewinny... Tak, on z pewnością niewinny!.. Tylko to takie straszne, że pani cierpieć musi...

Nieszczęśliwa matka, przesunęła pieszczotliwie dłoń po bujnych, miękkich włosach aktorki.

— Jaka pani dobra!... Rozumiem teraz, że syn mój musiał kochać panią!

— Kochać!... — powtórzyła Alicya, nie powstając z klęczek — wierzyłam w to niegdyś!.. O! bodajto to nigdy się nie stało!...

— Kochał panią bardzo!... — ciągnęła dalej staruszka — i pomyśleć że umarł na progu wymarzonego szczęścia... że śmierć porwała go jako twego narzeczonego!...

— Narzeczonego?! — Alicya uczuła, że cała krew spływa jej do serca.

— No tak, czyście się jeszcze wówczas nie zaręczyli?...

— Zaręczyli?! — źrenice Alicyi rozwarły się szeroko — on nigdy nie wymówił tego słowa!...

— W takim razie śmierć mu przeszkodziła...

— Na rany Chrystusa!.. co to ma znaczyć?!

Rysy Alicyi ściągnęły się konwulsyjnym skurczem:

— Czy pani słyszała już moje nazwisko przedtem, zanim pani o mnie mówiła miss Morton?!

— O! ileż razy... Robert w każdym liście wspominał mi o pani... zachwycał się pięknością, talentem, inteligencyą, a przedewszystkiem dobrocią i czystością charakteru. I ostatecznie udało mi się złamać mój opór... Dałam moje przyzwolenie na wasze małżeństwo i zapewne na kilka dni przed śmiercią list mój otrzymał...

— Szaleństwo błysnęło w oczach Alicyi. Ostatnia kropla krwi uciekła z jej lic. Wyglądała w tej chwili jak uosobienie bezkresnej rozpaczy...

Z piersi jej wyrwał się jęk głuchy...

— Więc.. on naprawdę... kochał mnie... chciał mnie uczynić swą żoną, a ja... ja go zabiłam!...

Alicya Belmore upadła zemdlona u stóp nieszczęśliwej matki.

ROZDZIAŁ X.

Czyja wina?

Promień bladego słońca listopadowego przedarł się przez zakratowane okno i przesunął się jasną smugą po ciemnej powierzchni więziennego koca, pod którym spoczywała Alicya Belmore..

Blask zbudził ją. Otwarła oczy smutne, znużone. Miała sen piękny: — śniła, że sypią się jej pod nogi kwiaty, na scenę cały deszcz kwiatów i że cała sala trzęsie się od oklasków i okrzyków: „Belmore!... Belmore"... A wśród tego tłumu rozentuzyowanego widniej piękne głowa Roberta, oczy jego spoglądają na nią z bezmierną miłością, a w dłoni widnieją cudne, ponsowe róże... Zbliża się ku niej, zbliża... już jest tuż... już dotknąć miał jej ręki, gdy nagle sen rozwiał się, a Alicya przywołaną została do okrutnej rzeczywistości.

Dzisiaj stanąć miała przed sądem... dzisiaj sędziowie przysięgli ogłoszą wyrok na zabójczynię... Dzisiaj — w tym samym dniu, w którym wystąpić winna była po raz pierwszy na wielkiej scenie w Nowym Yorku...

I nietylko wspomnienie przelanej krwi ciążyło na jej sumieniu, ale obraz nieszczęśliwej matki Roberta stał ciągle przed oczyma. Ta szlachetna chciała wielkodusznie przebaczyć kobiecie, która zabiła jej syna... Widziała że rozpacz jest równie wielką jak wielką była wina..

Ale Alicya skoro się zbudziła ze swego omdlenia, nie chciała nawet słyszeć o bezkarności dalszej swego czynu... Zabiła — więc odpokutować musi!... Niepodobna pozwolić, aby niewinni ludzie cierpieli za jej zbrodnię!...

Sama wysłała telegram do Nowego Yorku z zawiadomieniem, że przybyć nie może, a potem udała się do sędziego śledczego, aby przed nim wyznać całą prawdę... Oczywiście na skutek tego wyznania wypuszczono natychmiast na wolność Mortona i hypnotyzera...

I dziś dzień sądu...

O godzinie 8-mej zjawili się policyanci, którzy zaprowadzili Alicyę do zamkniętej dorożki, która zawieść ją miała do sądu...

(Ciąg dalszy nastąpi).

Kronika tygodniowa.

I nie oglądnęliśmy się nawet, a pół roku bieżącego należy już do historyi Od chwili, gdy dzień staje się krótszy, a noc dłuższa, t.j. od dnia 21 czerwca zaczynamy się powoli zbliżać ku końcowi roku i przypominać sobie coraz częściej, że zima za pasem, w mieszkaniu jest piec, a ten potrzebuje węgli. Nowy zatem kłopot dla każdego, bez względu na to, czy jest ojcem rodziny, czy ją też sam stanowi dla siebie. Nowym właściwie nazywać go nie można, gdyż jest *de facto* starym, ale nigdy nie dawał się tak we znaki, jak obecnie, choć węgli i drzewa mamy w kraju dość. Ale dawniej cetnar węgli kosztował zaledwo kilkadziesiąt centów, obecnie osiągnął wysokość kilkudziesięciu tysięcy marek, a ile będzie kosztować w okresie największego zapotrzebowania, t. j. w zimie, o tem nie wie nikt, nawet komisya drożyżniana, wtajemniczona jedynie w to, co już było, a nie przewidująca nic na przyszłość.

Cała nadzieja w przypuszczeniu, że i obecna zima, podobnie jak poprzednia, nie będzie zbyt ostrą, że zatem można się będzie zadowolić samem tylko posiadaniem pieca, bez potrzeby karmienia go węglem drzowem. Meteorologowie są zdania, że weszliśmy w seryę lat, w których lato jest niewyraźne, t. j. nie dokucza upałami, a i zima nie daje się zbyt we znaki. Że się co do lata nie pomylili, o tem już wiemy z własnego swego doświadczenia, czy się jednak spełnią ich zimowe przewidywania, to dopiero dalszy ciąg pokaże.

Zapowiadano nam wprawdzie na lipiec ogromne upały, ale jakoś się na nie nie zanosi, chłodne zefirki wieją stale tak od wschodu jak i zachodu, nadmiarem upałów cieszy się natomiast północna Ameryka, gdzie panują takie gorąca, iż ludność zmuszoną jest do spędzania nocy pod gołem niebem w publicznych ogrodach, które zamieniły się na „hotele pod słońcem“, o ile je tak nazwać można, jeśli się zważy że i w Ameryce nocną porą słońce nie przyświeca. Z powodu gorąca zmarły setki ludzi trochę zwarjowało, a reszta jest w kłopocie, nie mogąc z rozpaczy zalać robaka, do czego, wiadomo, woda się nie nadaje. Widzą Amerykanie dopiero teraz, jakie głupstwo palnęli, uchwalając ustawę prohicyjną i starają się złe naprawić, powiadając sobie „lepiej późno, niż nigdy“.

Gdy w północnej Ameryce ludzie się pocą, w południowej Europie marzną natomiast, jak donoszą telegramy z Włoch, temperatura pod modrem niebem Italii obniżyła się znacznie, a miejscami zanotowano nawet opady śnieżne. Cieszą się z tego bolszewicy, wytykając włoskim faszystom fatalne skutki ich dotychczasowej gospodarki, ale nic sobie z tego nie robi Mussolini i, aby złemu zaradzić, kazał puścić w ruch Etnę, co przyczyniło się do chwilowego ogrzania atmosfery.

Mimowoli, dzwoniąc nieraz zębami ze zimna, zazdrościmy Włochom, nie garnącym się nawet w zimie ku piecowi, nie kłopotającym się skutkiem tego o węglę, a posiadającym ponadto takie naturalne kaloryfery, jak Wezuwiusz i Etna, nie mówiąc o Stromboli, gdyż tamtejszy wulkan przeszedł już w stan dobrze zasłużonego spoczynku i, co najwyżej, kopci tylko czasem, ale nie wyrzuca ani lawy ani popiołu. Przypomniał nam się przy tej sposobności i ów nowy wulkan włoski, jaki wedle doniesienia jednego z naszych dzienników miał wybuchnąć koło Udine, jak się jednak zdaje, z powodów od redakcyi niezależnych nie zdołał się doczekać realizacyi, a wieść o nim do nas przyniosła kaczka dziennikarska, która w dziwny sposób zimową porą zabłądziła w nasze strony. Włochom dwa czynne wulkany zupełnie wystarczą, powiększenia ich liczby mogą się zrzec śmiało na korzyść swych sąsiadów i przyjaciół, a do tych ostatnich i my się przecież zaliczamy. A nam przydałby się bardzo bodajby jeden taki wulkanik. gdyż stałby się może regulatorem cen węgli i drzewa, o ile oczywiście pan minister skarbu nie nałożyłby z tego powodu jakiego nowego podatku na całą najbliższą okolicę, płatnego oczywiście w złotych polskich. Choć kto wie, czy i wulkan poradziłby co naszej mizeryi opałowej, jeśli się zważy, że dawniej, gdy węgle sprowadzaliśmy z Prus, było o nie u nas łatwiej, niż obecnie, gdyż je mamy w granicach naszego kraju. Coś podobnego zauważyć można także i przy rozpatrywaniu kwestyi śledziowej, bo gdy przed wojną można było całkiem przyzwoitego śledzia kupić za cztery centy. po uzyskaniu dostępu do morza, w którem są także śledzie, płacić za nie musimy wprost bajońskie sumy.

Jednem słowem, w którą stronę się zwrócić, wszędzie konstatuje się fakt, że teraz mamy świat na opak i po wojnie przeżywamy chwile, o jakich się nawet filozofom nie śniło. Miała wojna światowa naprawić stare nieco już uszkodzone porządki, tymczasem, jak się obecnie okazuje, zabrała się do tego zupełnie nieudolnie i zamiast naprawić, co było złe, zepsuła także i to co nadawało się jeszcze do użytku, czyli, że była nazupełniej niepotrzebna, o czem zresztą każdy, choćby nawet nie był Polakiem, mógł się po szkodzie na samym sobie przekonać.

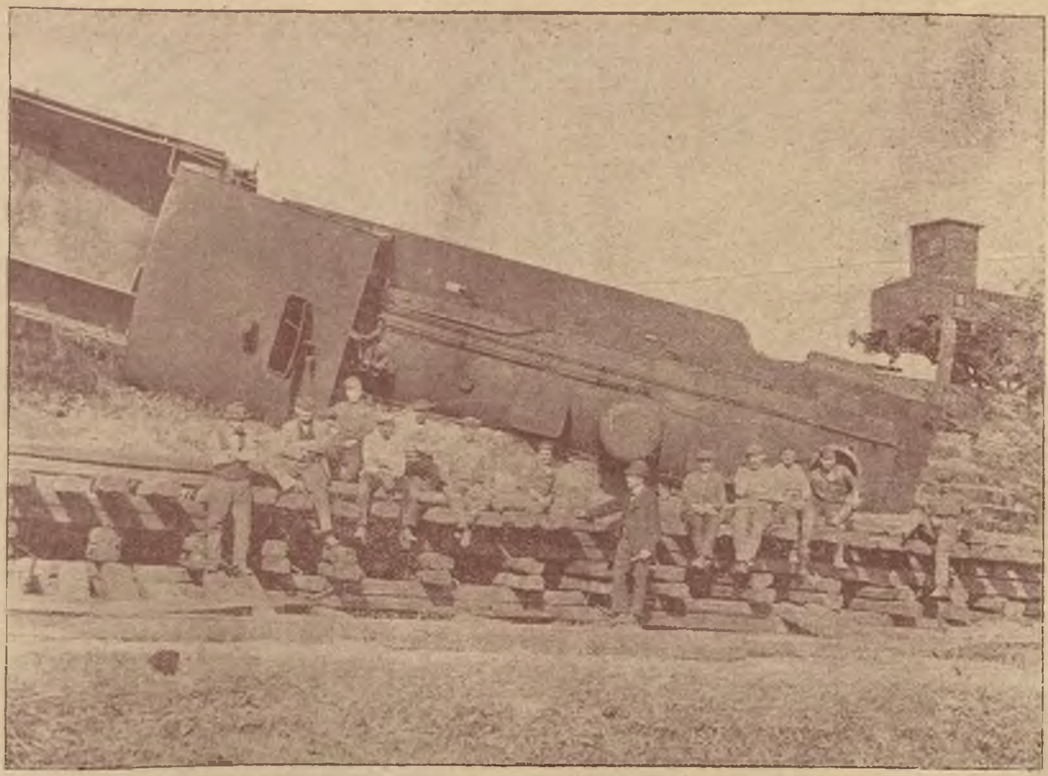
Rozpoczął się miesiąc lipiec dawniej początek okresu kanikularnego i towarzyszących mu kaczek dziennikarskich, których masowy ciąg można było stale obserwować, czas wyjazdu na wakacye, delektowania się świeżem powietrzem, kurczętami, a choćby tylko nowemi ziemniaczkami. Że lipiec jest, tego nikt nie zaprzeczy, bo tak głosi kalendarz. ale niema wcale kanikuły, wyjazd na wakacye odłożony został do następnego roku, ewentualnie i na później, aż się stosunki poprawią, o młodych kurczętach marzyć może chyba miliarder, a na nowe ziemniaki z trudem tylko zdobędzie się milioner, bo za kilogram trzeba zapłacić pięć tysięcy marek, nie licząc do nich masła, bez którego się nie obejdą, a będącego dla wielu z nas jedynie wspomnieniem dawnych, przedwojennych czasów, gdy na targu krakowskim kupowało się osełkę za kilkadziesiąt centów. Nawet dziennikarz lub literat, należący do stałych konsumentów bryndzy, bodajby bezpośrednio po otrzymaniu miesięcznej gaży mogli sobie pozwolić na podobny wybryk. jak talerz podśmietania, a do tego porcya młodych ziemniaków, obecnie zadowolić się muszą smakiem i przypominaniem sobie tych czasów, kiedy to bułka „centówka“ kosztowała naprawdę centa. a patrząc na nią, kiwało się z politowaniem głową, narzekając, że jeszcze kilka lat temu wstecz była ona prawie o połowę większą. Dziś wydaje nam się to jakiemś opowiadaniem z bajki i przestaliśmy się dziwić, że za dwie bułki „kajzerki“ zapłacić trzeba tysiąc i czterdzieści marek, a takich pigułek zjadłby człowiek o przeciętnym apetycie do śniadania co najmniej ze sześć, drugą taką samą porcyę zaś na podwieczorek.

Mimowoli przyszły kronikarzowi na myśl dawne, młodzieńcze lata, gdy w tym czasie wyjeżdżał do domu rodzicielskiego na wakacye. Okolica, w której zamieszkiwali jego rodzice, była dość szczelnie zabitą deskami od reszty świata. ale z biegiem lat i w tym płocie zrobiono wyłom i doprowadzono kolej żelazną w bezpośrednie sąsiedztwo, czego następstwem było raptowne podrożenie wszelkich artykułów spożywczych, mających teraz ułatwiony odpływ w dalsze okolice. Za litr mleka prosto od krowy płacił pachciarz z sąsiedniego miasteczka aż cztery centy, a tu nagle kilogram mięsa podskoczył z dwudziestu centów na trzydzieści. a niedługo potem na czterdzieści. Gospodynie rozpaczały, co to za straszna drożyzna, każde gwizdnięcie lokomotywy kolejowej, która pośrednio spowodowała wzmożenie się drożyzny odbijało się boleśnie na ich sercach, a jeszcze bardziej na kieszeni, z wzruszeniem i prawdziwem nabożeństwem opowiadano sobie, jak to przed laty jeszcze kilku można było całe cielę wraz ze skórą i ogonem kupić za kilkanaście centów i zastanawiano się poważnie nad tem, kiedy też wrócą te dawne, lepsze czasy. Z tych osób, które wówczas przejmowały te troski, dziś już niewiele pozostało przy życiu te zaś, plątające się jeszcze między nami, ani rusz nie mogą się pogodzić z obecną sytuacyą i przepowiadają rychły koniec świata. Robotnik wiejski zarabiał wówczas dziennie trzydzieści, a bardzo ukwalifikowany nawet i czterdzieści centów dziennie i to mu zupełnie wystarczyło, a trzeba było widzieć go wracającego z jakiegoś jarmarku, dokąd się wybrał, mając całą „piątczynę“ w kieszeni, ile on tam nakupił najrozmaitszych rzeczy. Gdyby dziś chciał nabyć to wszystko, musiałby zabrać ze sobą pełny worek wypchany banknotami i to nie byle jakimi, lecz conajmniej „słoniami“ lub wielbłądami“ i wówczas narzekało się, że jest drogo, a ten i ów wzdychał nieraz do lepszych czasów, wyrażając przypuszczenie, że w powietrzu wisi tylko wojna, a po niej, jak po burzy, oczyści się gruntownie atmosfera. Kto jednak żywił takie nadzieje, ten był w błędzie, bo wiekowe doświadczenie uczy, że każda większa wojna powoduje drożyznę, a wypaczone przez nią stosunki nie wracają już nigdy do pierwotnych norm. O tem przekonaliśmy się po wojnie prusko austryackiej w roku 1866., następne wojny, bezpośrednio nas nie dotykające, nie dały nam się zbytnio odczuć, ale za to gruntownego łupnia zadała nam wojna światowa, nim zaś odczujemy jakieś dobroczynne jej skutki, trzeba będzie wyewakuować się z tego świata, a oczekiwanie pozostawić swym następcom, którzy kiedyś będą się może dziwić, że w Krakowie kosztowała w roku 1923. najzwyklejsza gęś czterdzieści tysięcy marek, tak jak nam nie mogło się swojego czasu pomieścić w głowie, jak Paryżanie mogli za nią w czasie oblężenia miasta przez Prusaków płacić aż... sto dwadzieścia pięć franków.

Pan minister Grabski, przeczytawszy to, powie z pewnością, że obecnie stosunki gruntownie się poprawiły, na dowód przeliczy zaś marki na złote polskie i wykaże, że owe czterdzieści tysięcy marek równają się dwu złotym polskim, czyli mniej więcej dawnym dwu koronom, sto dwadzieścia pięć franków zaś z czasów oblężenia Paryża, przeliczone na naszą walutę po obecnym kursie franka, pójdą w miliony, że zatem dobrobyt zaczyna się coraz bardziej ustalać, a to przeważnie dzięki wprowadzeniu złotego Polskiego, pozwalającego przedstawić sytuacyę w takiem oświetleniu, jakie dla kogo wygodniejsze. Raz sypie się szeroko markami, zaraz potem kurczy się je na złote polskie, przyczyniając się tem do wprowadzenia w naszem życiu codziennem jeszcze większego, niż dotychczas chaosu.

Już w zakończeniu poprzedniej kroniki wspominaliśmy o nieudałej próbie pana ministra ze złotymi polskimi, którymi miał rzekomo ratować markę polską, a tymczasem tak jej dogodził, że banknot tysiącmarkowy osiągnął wartość niespełna dawnych dwu centów. Niestety, brak miejsca nie pozwolił nam na należyte omówienie sprawy, czekaliśmy zresztą na zapowiedziane wywnętrznienia pana ministra w sejmie, gdzie miał rzucić jasny snop światła na obecną naszą sytuacyę ekonomiczną. Do tej chwili należało się zatem wstrzymać z krytyką, choć z góry byliśmy przekonani, że pan Grabski nie powie nic więcej, jak tyle, co zwykle dotąd, że on wszystko z góry przewidział, ale katastrofie przeciwdziałać nie zdołał. Przyjazd do Warszawy króla rumuńskiego przeszkodził panu Grabskiemu w wygłoszeniu *expose*, nie wiemy zatem dotąd, czy mamy mu wyrazić zaufanie i podziękowanie za jego dotychczasową politykę finansową. czy też zaproponować aby przystąpił do stowarzyszenia „O. P. K“ (Onufry pakuj kufry!...) i zrobił miejsce innemu lub innym.

Na bonach złotych zrobili złoty interes waluciarze, nie stracą na nich ci, którzy je tydzień przedtem zakupili po niższej cenie, czy jednak wyjdzie na tem dobrze skarb banstwowy, to pytanie, na które nawet sam pan Grabski nie odpowie, nie dlatego, jakoby odpowiedzi znaleźć nie umiał, ale poprostu z tego powodu, iż go wstyd, że, choć, jak sam opowiada, wszystko z góry przewidywał, nic przecież nie przewidział, a bardzo wiele przeoczył. Gwałtowna zwyżka dolara pociągnęła za sobą i złote polskie, które nadprogramowo, nie czekając na zwykły, zapowiedziany urzędowo termin dziesięciodniowy oznaczania ich wartości, podskoczyły z trzynastu tysięcy na dwadzieścia, a każdy, kto miał złote polskie, spodziewając się, iż znowu lada dzień mogą spaść, chciał się ich pozbyć, nie mogąc tego zaś uczynić we właściwej kasie, gdzie trzeba było stawać do „ogonka“, odsprzedawał je spekulantom, gotowym zawsze spieszyć z pomocą bliźniemu, gdy ten jest w potrzebie. Obecnie są złote polskie notowane po siedmnaście tysięcy za złoty polski, czyli za dawną koronę, ale spekulanci nie tracą nadziei, że to nie była ostatnia próba ratowania finansów przez pana Grabskiego i że nic na na tem nie stracą, jeśli one przez kilka tygodni przeleżą się w ich kieszeni, aż do najbliższej próby naszego genialnego teoretyka, którą oni potrafią wyzyskać dla siebie bardzo praktycznie.



Z dni krwawych i sławnych Górnego Śląska: Tor kolejowy pod Czernowaniem z pruskim pociągiem pancernym, wysadzonym w powietrze przez powstańców.

Z dni krawych i sławnych Górnego Śląska.

Obchodziliśmy w ubiegłym miesiącu rocznicę odzyskania dla Polski odrodzonej części Śląska Górnego. Część niestety tylko dawnej piastowskiej



Z dni krwawych G. Śląska. Dtwo 1 Dywizyi powstańczej przed pałacem ks. Hohenlohego w Staupciach.

dzielnicy wróciła do macierzy, część tylko odzyskaliśmy, lecz i ta część jest dziś najcenniejszym klejnotem w Koronie naszej Rzeczypospolitej.

Słuszną jest rzeczą, by wśród radosnej pamiątki wspomnieć także o tych, którym odzyskanie Śląska zawdzięczamy: bohaterskim powstańcom górnośląskim.

Trzy razy zrywali się do walki z despotą pruskim. W ciągu trzech lat kolejnych po raz pierwszy w sierpniu 1919 roku. Zerwała się wówczas do walki garść „młodzików" i „szaleńców" pod kierownictwem zawiązanej w grudniu 1918 r. na Śląsku Polskiej Organizacyi Wojskowej. Oddziały powstańcze, wówczas bardzo nieliczne i ledwo uzbrojone stoczyły dziesiątki bitew z prusakami, zdobywając w wielu walkach armaty, karabiny maszynowe i broń ręczną. Przeciw kilku tysiącom powstańców Niemcy sprowadzili na Śląsk najlepsze swe oddziały, pociągi pancerne, samoloty, auta opancerzone i olbrzymią artyleryę. Powstanie pierwsze krwawo zostało stłumione, ale zarzewie walki tlało dalej: Wobec coraz straszniejszych gwałtów doszło po roku, w r. 1920 w sierpniu znów do drugiego wybuchu. Warszawa była zagrożona, gwałty niemieckie coraz bezczelniej dokonywane i popierane przez t. zw. „policyę bezpieczeństwa". Niemcy wtedy sami dali hasło, pierwsi zaczynając walkę zbrojną i atakując Polaków i okupacyjne wojska francuskie. Sekretarz Komisaryatu plebiscytowego dr Matuszczyk zwrócił się w imieniu posła Korfantego do komendanta P.O.W. por. Zgrzebnioka, z wezwaniem i żądaniem, by P.O.W. wydała swym członkom broń i stanęła w obronie mordowanej ludności polskiej. Dnia 19 sierpnia r. 1920, o godz. 10 wieczorem rozpoczęło się drugie powstanie śląskie. Trwało ono tydzień. W ciągu tego tygodnia opanowane zostały powiaty: katowicki, bytomski, tarnogórski, lubliniecki i zabrski (z wyjątkiem tylko miast powiatowych w tych powiatach), całe powiaty pszczyński, rybnicki, i część gliwickiego, strzeleckiego i oleskiego.

Żądanie powstańców by rozbroić i usunąć z G. Śląska „Sicherheitspolizei" a stworzyć polsko-niemiecką policyę plebiscytową został przez Komisyę Międzysojuszniczą uwzględnione. Najniebezpieczniejsze narzędzie terroru pruskiego zostało złamane. Powstanie osiągnęło swój cel. Po raz trzeci stanęli Ślązacy do walki po plebiscycie, w dn. 3 maja, gdy groziło oddanie Śląska Niemcom, z wyjątkiem skrawków rybnickiego, pszczyńskiego powiatu, które miały być przyznane Polsce. Najkrwawsze to i najdłuższe były walki. Zwycięzkie — bo osiągnęły tyle, że przynajmniej część okręgu przemysłowego ocalała i wróciła do Polski. Żadna inna dzielnica Polski w dniach zmartwychwstania nie stoczyła tak ciężkich i krwawych walk o prawo należenia do Polski — jak Śląsk Górny. — Jeden bohaterski Lwów może się równać ze Śląskiem.

To też przy wspomnieniach tryumfu należy pamiętać i o tych komu te tryumfy zawdzięczamy: mężnemu powstańcowi śląskiemu, czarnemu od pyłu węglowego górnikowi, chłopu z rolniczych powiatów Śląska i ich przywódcom. Dowódcom: posłowi Korfantemu, jako wodzowi politycznemu ludu śląskiego i kierownikom, organizatorom i dowódcom P.O.W. i innych organizacyi powstańczych na Śląsku.

Oni byli duszą walk powstańczych, i ich jest w znacznej mierze zasługa, że nad wielu szybami kopalnianemi sztandar polski powiewa.

Fotografie nasze przedstawiają sceny z walk wojsk powstańczych śląskich w r. 1921: Tor ko-



Z dni krwawych i sławnych Górnego Śląska: D-ca I dyw. powstańczej mjr. Ludyga-Laskowski ur. w Rorberku na Śląsku, przed wojną był naczelnikiem gniazda Bytomskiego „Sokoła". W czasie wojny zaciągnięty do armii pruskiej przekradł się na polu walki na stronę francuską. Brał wybitny udział w organizowaniu armii jen. Hallera, w której był adjutantem 1-go korpusu. Wróciwszy w r. 1920 na Śląsk stał się jednym z organizatorów ruchu powstańczego i przywódców P. O. W.

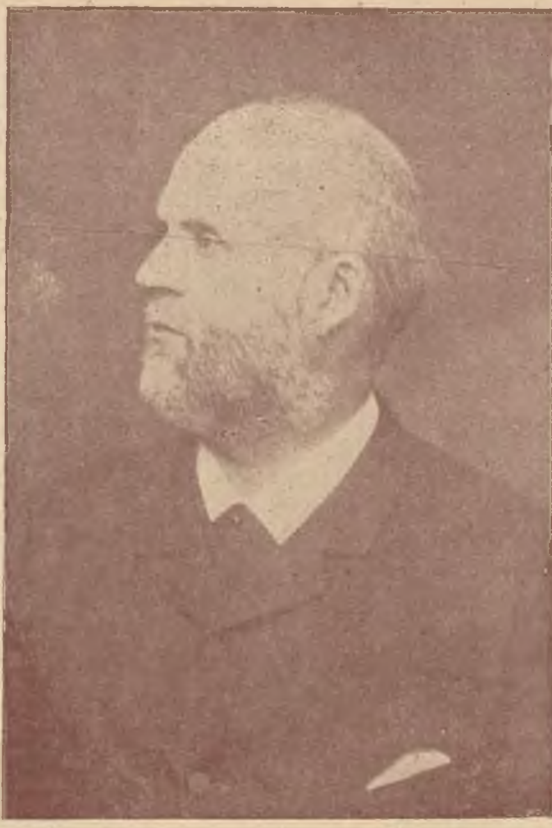




Z dni krwawych i sławnych Górnego Ślaska:

Grupa powstańców śląskich w m. Zalesie, bezpośrednio po bitwie Na pierwszym planie jeden z powstańców, górnik, ranny przy zdobywaniu Zalesia.

Sztab I. dywizyi wojsk powstańczych opracowujący plany operacyjne w gabinecie ks. Hohenlohego w pałacu jego w Staupciach.



Zgon założyciela tramwajów krakowskich: Ś. p. Leopold de Mussilan-Mussil.

lejowy z lokomotywą pancernego pociągu stosstrupplerów wysadzony w powietrze przez powstańców pod Czernowaniem, grupa powstańców 3 p. powst. w Zalesiu bezpośrednio po zdobyciu miasta, tudzież dwa zdjęcia wskazujące, jak zmienne są losów koleje: na jednem z nich sztab 1 dywizyi powstańczej przed wspaniałym pałacem dumnego magnata pruskiego ks. Hohenlohe, na drugiem — tenże sztab urzędujący w jednej z sal pałacu Hohenlohego, opracowujący rozkazy operacyjne dla wojsk obalających potęgę prusactwa na Śląsku, której jednym z najwybitniejszych przedstawicieli i działaczy był pałacu tego właściciel.

Wkońcu zamieszczamy fotografię jednego z najwybitniejszych przywódców w walce o wyzwolenie Śląska — majora Ludygi-Laskowskiego.

Zgon założyciela tramwaju krakowskiego.

(Kr.) Znał go każdy w Krakowie tego miłego, wytwornego staruszka o siwych włosach i czerstwej twarzy i energicznych ruchach przypominających emerytowanego oficera wyższej rangi.

Znał go każdy po nazwiskn: to Musil, założyciel tramwaju w Krakowie.

Mimo z cudzoziemska brzmiącego nazwiska od 50 lat do ostatnich chwil życia przebywał śp. Leopold de Mussilau Mussil w Krakowie, ukochał całem sercem to miasto i społeczeństwo, dla którego żył, pracował i pozostawił mu trwałą pamiątkę po sobie.

Ś. p. Leopold Mussil ur. 25 czerwca 1823, odebrał wykształcenie w wojskowej akademii techn. we Lwowie, poczem skwitowawszy z karyery wojskowoj osiadł w mieście naszem.

Staraniom Nieboszczyka powiodło się w. r. 1882 nakłonić konsorcyum belgijskie do założenia tramwaju w Krakowie. Był to oczywiście tramwaj konny, który z czasem przekształcony został w elektryczny.

Pierwszym dyrektorem tramwaju w Krakowie był ś. p. Leopold Mussil.

Nieboszczyk pozostawił dwóch synów: Dra Franciszka Mussila, adwokata i Dra Leopolda Mussila starostę przy województwie w Krakowie.

Międzynarodowe wyścigi cyklistów
w Warszawie.

Zawody kolarskie na Dynasach, w Warszawie nie przyniosły publiczności zawodu, owszem dały jej wiele emocyi. Na torze, obok jeźdźców warszawskich, stanęli 4 jeźdźcy łotewscy i 4 jeźdźcy łódzcy (bracia Müllerowie, Burno i Szymski). Interesującą była próba pobicia rekordu na 400 m., w której Szymczyk osiągnął cząs swego rekordu, gorszy czas uzyskali Stankiewicz i Iko. Bardzo emocyonującym był wyścig na 1000 mtr. między jeźdźcami, którzy uzyskali najlepszy czas w próbie pobicia rekordu (z rozgrywki wszedł tu Kopke jako czwarty). Po ostrej walce bieg ten wygrał Szymczyk, ostatnie 200 mtr. robiąc w 13 sekundach. W wyścigu „Rouge et Noir“ stanęli jako grupa czerwonych jeźdźcy łotewscy, jako czarni zaś warszawscy jeźdźcy 2-ej klasy, którzy też, po 15-ej minutowej bezowocnej walce, wygrali na punkty. Ostatni bieg wyścigów t. zw. wyścig „amerykański“ parami poprzedziło nadprogramowe zbyt długie oczekiwanio na ukazanie się jeźdźców. W biegu prowadzonym w ostrem tempie (25 km. z 38 min. 46 sek.) pierwsze miejsce uzyskała para Szymczyk-Lange J., o drugie miejsce ciężko walczyły pary Stankiewicz-Iko i Kepke-Plume. W końcowem okrężeniu zwyciężyli Łotysze przez piękną wygraną Plumego, który przyszedł przed Stankiewiczem i Szymczykiem. Podnieść należy piękny styl Kepkego, który mimo upadku i dotkliwego potłuczenia (przedramię prawe silnie krwawiło mu do końca biegu) prowadził bieg we wspaniałej formie.



Międzynarodowe wyścigi cyklistów w Warszawie: Na starcie

OD WYDAWNICTWA.

Wobec niezwykłego podniesienia się ceny papieru i druku zmuszeni jesteśmy podnieść cenę naszego Pisma. Od obecnego numeru egzemplarz „Nowości Illustrowanych kosztuje

Mkp. 3.000

Pomimo tej podwyżki „Nowości Illustrowane pozostają najtańszym tygodnikiem illustrowanym w Polsce.



Międzynarodowe wyścigi cyklistów w Warszawie: Jeźdźcy łotewscy: Pinkis, Kepke, Plume i Ukstis.

KONKURS NAJPIĘKNIEJSZYCH KOBIET W POLSCE



Elżbieta Nitschówna (Kraków)



Ziutka Ziembowicz (Lwów)



Helena Mojewska (Poznań)

Kult piękna jest jednym z ważniejszych czynników w duchowym rozwoju ludzkości. Jego dziełem jest świat sztuki — artystyczny dorobek wieków. Ale sztuka jest tylko indywidualnem odbiciem i ujęciem piękna w naturze. Piękno to odnajdujemy i podziwiamy we wszystkich zjawiskach i tworach przyrody, a przedewszystkiem u królowej stworzenia — kobiety. Twarz kobieca — ten najwdzięczniejszy temat dla artystów, tworzących poematy malarskie, jest w naturze najbardziej bezpośrednim wyrazem piękna. Tutaj natura idzie w zawody ze sztuką. Dlatego też nie są pozbawione znaczenia artystycznego urządzane we wszystkich krajach i cieszące się ogromnem powodzeniem konkursy piękności dla kobiet. Takie konkursy, urządzone w Krakowie na kilku balach podczas ubiegłego karnawału, wzbudziły duże zainteresowanie, choć były tylko ograniczone do szczupłego grona uczestniczek zabawy. To zachęciło nas do ogłoszenia

KONKURSU NAJPIĘKNIEJSZYCH KOBIET W POLSCE



Olga Gotarowa (Warszawa)

Panie pragnące stanąć do tego konkursu zechcą przesłać pod adresem Redakcyi „Nowości Illustrowanych“, Kraków ul. Kazimierza Wielkiego 95. swą **fotografię z własnoręcznym podpisem.** Do fotografii należy dołączyć wypełniony blankiet, który znajduje się na ostatniej stronie naszego pisma. (Fotografie nadesłane przez osoby trzecie nie będą uwzględnione). Nadsyłane fotografie będą oddane do oceny specyalnej komisyi artystycznej a ta zaopiniuje, które z nich zostaną zamieszczone w „Nowościach Illustrow.„ **w gronie najpiękniejszych kobiet.** Podobizny te będziemy zamieszczać w miarę ich napływania w każdym numerze. Po wyczerpaniu wszystkich nadesłanych fotografii nastąpi **rozstrzygnięcie konkursu przez głosowanie Czytelników „Nowości Illustrowanych“.** Będą **trzy nagrody** 1) roczna prenumerata „Nowości Illustrowanych“, 2) półroczna i 3) kwartalna. Nadto wszystkie nagrodzone panie otrzymają **artystycznie wykonane dyplomy pamiątkowe.** — Termin głosowania i jego warunki podamy później, obecnie zaś zapraszamy panie do wzięcia udziału w konkursie i nadsyłania nam swych fotografii.

Konkurs najpiękniejszych kobiet w Polsce

Upoważniam Redakcyę „Nowości Illustrowanych“ do zamieszczenia mojej fotografii w dziale konkursowym

(Własnoręczny podpis):

Dokładny adres: Imię i nazwisko (wyraźnie)

Miasto (ostatnia stacya pocztowa)

Ulica Nr.

OGŁOSZENIA

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: Dr. Witold Lipiński

Klisze własnego zakładu. Druk. D. E. Friedleina.